

# Tadeusz Wittlin

---

## Kostek i Tadek

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 2, 238-242

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

oraz *Commissar*, studium o Lawrencim Berii, tłumaczone na kilka języków, pozwoliło mu zaistnieć również w literaturze angielskiej, a obszernie studium o Dagny Przybyszewskiej (*Eine Klage für Dagny Juel-Przybyszewska*, 1997) dało satysfakcję i szansę na powrót do Europy... W papierach pozostała obszerna anglojęzyczna biografia Gorkiego oraz studium o teatrze Czechowa.

Opublikował też, wspomnienia z lat międzywojennych (*Ostatnia cyganeria*, 1974) oraz kilka bardzo prywatnych, osobistych biografii przyjaciół: Hanki Ordonówny (*Pieśniarka Warszawy*, 1985), Stefana Wiecheckiego-Wiecha (*Nad szarej Wisły brzegiem...*, 1990) i Wieniawy-Długoszowskiego (*Szabla i koń*, 1997).

Nie czuł się historykiem, choć droga do każdej książki wiodła przez długoletnie badania, poszukiwania źródłowe i ogromną, gromadzoną z pietyzmem korespondencję z rodziną i przyjaciółmi bohaterów jego książek. Każdy fakt był wielokrotnie sprawdzany, a opinie formułowane bardzo ostrożnie. Miał wielki i uzasadniony żal do recenzentów swoich książek, że całą pasję poświęcają poszukiwaniu zawartych w nich nieścisłości i opuszczeń, nie dostrzegając języka i nie czując atmosfery oddanej z niemal kronikarską dokładnością. Był właśnie bardzo osobistym, bardzo spóźnionym kronikarzem przedwojennej Warszawy i ludzi, którzy świadczyli o jej wyjątkowości. W Warszawie zmarł, 4 października 1998 roku...

Odpowiadając na jeden z listów dotyczących Gałczyńskiego, Tadeusz Wittlin przysłał mi swój szkic pt. „Kostek i Tadek” wcześniej nie publikowany oraz rękopis wiersza autora „Zaczarowanej dorożki”.

Mirosław Adam Supruniuk (Toruń)

\*

## KOSTEK I TADEK

Niedawno, gdy w Warszawie miało ukazać się krajowe wydanie mojej książki *Diabeł w raj*, wspomnień z więzień sowieckich i obozu przymusowej pracy na Syberii, które to szkice z przedmową generała Andersa opublikowałem kiedyś w Londynie, mój nowy wydawca zwrócił się do mnie z prośbą o zdjęcie na okładkę, lecz z czasów gdy służyłem w Drugim Korpusie.

Nie mogłem odmówić. Tym bardziej, że wydanie tej mojej książki miało być oficjalne, po podziemnym poza cenzurą.

Z kufra pełnego papierów wy dobyłem starą książeczkę wojskową, a wyblakłe zdjęcie zaniołem do fotografa w Waszyngtonie, by mi zrobiono znośną odbitkę. Gdy po kilku dniach odbierałem zamówienie fotograf spoglądając to na mnie, to na moje zdjęcie w mundurze z pasem koalicyjnym przez ramię, spytał:

— To pana syn. Prawda?

— Nie — odrzekłem poważnie. — Wnuk.

— A no tak — przyznał. — Ale pewne podobieństwo istnieje.

— Dziękuję — powiedziałem cicho.

Zapłaciłem i wyszedłem z lekka zasmucony.

Idąc ulicą pomyślałem, że istotnie mógłbym mieć wnuka w wojskowym mundurze, gdyż wypadki wojenne, w których brałem udział, były tak dawno, iż minęły od nich co najmniej dwa pokolenia czasu.

W okresie drugiej wojny światowej, gdy my, ludzie cudem wyrwani śmierci z sowieckiego zesłania i chociaż jeszcze w Rosji, lecz już nosiliśmy polskie mundury z orzelkiem w koronie, w barakach wojska generała Andersa otrzymywaliśmy wiadomości ze świata z gazetki „Polska”. Wówczas w artykule *Straty kultury polskiej*, poświęconym zmarłym artystom wyczytałem wśród wielu innych nazwisko Gałczyńskiego.

Konstanty Ildelfons Gałczyński, jeden z założycieli poetyckiej grupy „Kwadryga”, autor poematu buffo *Koniec świata*, surrealistycznej powieści *Porfirion Osielek* i mnóstwa najprzedniejszych wierszy, stanowił klasę sam dla siebie. Jego liryki, podobnie jak fraszki i satyry były oryginalne w formie i niespodziane w poincicie, a takie wiersze jak *Muzeum Chopina*, *Skumbrie w tomacie*, czy *Serwus Madonna*, ta ostatnia strofą:

*Nie gardź wiankiem poety, lotra i lobuza;  
Znają mnie redaktorzy, zna policja konna,  
A tyś jest matka moja, kochanka i muza —  
Serwus, Madonna!*

nie miały pierwowzoru w poezji polskiej. W artykule wychodzącego w Kujbyszewie tygodnika Ambasady R.P. „Polska” pochowano Gałczyńskiego wówczas we wspólnym grobie rodzinnym poetów, malarzy i aktorów. Dopiero znacznie później Zygmunt Nowakowski w „Wiadomościach Polskich” obwieścił z Londynu, że Gałczyński żyje, znajduje się jednak w osławionym obozie koncentracyjnym Dachau. Wzmianka ta, chociaż prostująca pogłoskę o śmierci autora *Porfiriona Osielka*, była wystarczająco ponura. Dachau bowiem, gdzie zmarły tysiące Polaków, był to obóz bez wyjścia, w którym pobyt równy powolnemu konaniu był gorszy od śmiercionośnej kuli wroga na froncie. No, trudno. Trzeba było się z tym pogodzić.

Pewnego dnia w kasynie przy bufecie natknąłem się na szczupłego faceta, popularną niegdyś w Warszawie posturkę na literackich zebraniach, wieczorach autorskich i innych tym podobnych artystycznych popijawach. Olaf, gdyż takie właśnie imię nosił, a może nadało mu jego otoczenie, był niegdyś kompozytorem muzyki do tekstów kilku ballad Konstantego Ildelfonsa. Teraz Olaf również nie miał wątpliwości, że biedny Gałczyński podzielił los ofiar niemieckiego obozu bez powrotu. Cóż robić? Wypiliśmy wspólnie na pamiątkę Konstantego, wspomnieliśmy kilka jego nieodpowiedzialnych wyczynów prawdziwych i rzekomo prawdziwych, i półgłosem odśpiewaliśmy jego *Balladę o trąbiącym poecie* do muzyki tegoż właśnie Olafa rozpoczynając się od słów:

*Mówią, że była panienka,  
Co miała na imię Ina,  
Gdy chciała powiedzieć: „kocham”,  
Mówiła: „kokaina”.*

*Miała niebieską wstążkę  
i niebieskiego kota.  
Kot wąchał „kokainę”,  
A Ina wąchała kota...*

I tak dalej i dalej. A kiedy pożegnałem Olafa i wszedłem do mego baraku pomyślałem, że powinienem napisać literackie wspomnienie o biednym Gałczyńskim. Jeszcze tegoż dnia skreśliłem opowieść o tym, jak to pierwszy raz spotkałem się z Konstantym w redakcji satyrycznego tygodnika „Cyruлик Warszawski”. Gałczyński zwrócił się wtedy do mnie ze słowami:

— Ma pan ponurą minę jak właściciel zakładu pogrzebowego na Pradze, albo jak tak zwany wytwornie: moczymorda. Czy posiada pan zakład pogrzebowy na Pradze?

— Nie — zaprzeczyłem, co zresztą było prawdą.

— W takim razie chodźmy na wódkę — zaproponował Gałczyński.

Wkrótce znaleźliśmy się w barze u Wróbla na ulicy Mazowieckiej, gdzie przy bigosie i wódce rozmawialiśmy na tematy górne i chmurne o kwartalniku „Kwadrygi” z Pegazem na okładce, o księgarni poetyckiej Hoesicka pod kierunkiem nieocenionego Mariana Steinsberga, który poetom udzielał pożyczek na wieczne nieoddanie i zaliczek na książki nigdy nie napisane, ale że był mężem wielkiej aktorki Mieczysławy Ćwiklińskiej, więc duszę miał artystyczną. Mądryliśmy się też na temat skamandrytów, wykpiwaliśmy niektórych znajomków i oczywiście wypiliśmy bruder-saft. Również wtedy Konstanty zadeklamował jeden ze swych wierszy skandując go po pijanemu nieco zbyt głośno, gdyż wokół przy innych stolikach zaległa makiem zasiana cisza. Wszyscy łącznie z zastygłymi przy ścianach kelnerami słuchali gdy Konstanty recytował:

*Włożę spodnie czarne, cmentarne  
I pójdę w siną dal  
I nic nie zostanie tu po mnie,  
Jeno ten cichy żal.*

*Jeno te białe modrzewie,  
Jeno ten czarny fraszunek  
I gdzieś tam w knajpie za miastem  
Niezapłacony rachunek.*

*Gdy skonam, o moi najdrożsi,  
A skonam wieczorem niebieskim...*

Kiedy wymawiał te słowa, miał łzy w oczach i w głosie.

Nie wiedząc czy zamknięty w koszmarnym obozie zagłady Gabczyński skołał wieczorem niebieskim, czy przed szarym ponurym świtem, napisałem moje epitafium jak umiałem najlepiej i pod tytułem *Konstanty po raz pierwszy* zamieściłem je w dwutygodniku wojskowym „Parada”.

Czasopismo było dla żołnierzy Drugiego Korpusu we Włoszech. Wydanie z moim esejem o Gabczyńskim szybko rozeszło się jak zwykle po oddziałach, a ja zapomniałem o moim literackim wyczynie. Aż pewnego dnia na adres redakcji otrzymałem list. Ktoś donosił, że gdy w październiku 1944-go roku po upadku Powstania Warszawskiego dostał się do niewoli niemieckiej, zamknięty został w obozie Stalag XI A, Allengrabow w pobliżu Magdeburga. Tam spotkał się z Gabczyńskim, który jako jeńiec z kampanii wrześniowej 1939 był tam w stopniu szeregowca i pełnił funkcję tłumacza w obozowym szpitalu *Lagerlazarett A*. Później jednak został stamtąd usunięty i skierowany do tak zwanej *Arbeitskommando* za ostry list protestujący przeciwko odsyłaniu polskich żołnierzy na przymusowe roboty. Słowem, mimo wszystko z Konstantym nie jest tak źle.

List ten pokazałem Olafowi. Z radości wypiliśmy za zdrowie tego, który powrócił cało z drugiej strony cienia, ja zaś uważałem za swój święty obowiązek napisanie o tym odpowiedniego eseju. Tym razem mój felieton w „Paradzie” zatytułowałem *Ildefons Redivivus*.

Upłynęło sporo czasu. Było to już w roku 1945-tym po zakończeniu działań wojennych, lecz jeszcze przed demobilizacją, a w jaki sposób numer „Parady” z moim radosnym sprostowaniem *Ildefons Redivivus* ze słonecznej Italii trafił daleko zagranicę, doprawdy nie mam pojęcia. W każdym razie pewnego dnia nadeszła do mnie z Niemiec nie lichy wypchana koperta zaadresowana zielonym atramentem. Oto co zawierała napisane z rozmachem na grubym, szarym pakowym papierze:

*Ildefons Redivivus Tadeuszowi Wittlinowi i „Paradzie” — pozdrowienie.*

#### BALLADA O SZKLARZACH

*Byli szklarze. Tu punkt kładę:  
Jeden Kostek, drugi Tadek.*

*Tu przecinek, albo średnik.  
Więc ci szklarze byli biedni,*

*bo, gdy przyszła wojna zła,  
to nagle zabrakło szkła,*

*a po wojnie były nici,  
czyli nie było czem szklić i*

szklarzy dwóch jak jeden mąż  
drapało się w głowę wciąż.

A mroziak był jak cholera,  
cholera poniżej zera,

papierosów n-i-ma, aż  
klął ze szklarzy każdy szklarz,

więc już chcieli robić bunt,  
ale... tego. Tutaj punkt.✂

A właściwie o to szło,  
jakby piasek stopić w szkło,

żeby nie marzył Wacio, Miecio,  
żeby ciepło było dzieciom,

żonom, mężom, z dziećmi pannom,  
uciekiniernom, ewakuantom,

żeby, słowem, jasny gwint!  
nie zczeszł das polnische Kind.

Właśnie szedł pod ścianą gość  
z gębą jakby polknął ość,

z nerką w dole, z głową w ziemi,  
pół filozof i pół chemik.

Krzyknie Tadek: Panie pan,  
umiesz pan pocierać chrzan?

Nie, niestety. CHRZAN PRZEMINIE...  
Jam jest Trąpalski, inżynier.

Ach, inżynier? No, to lu!  
Właśnie ma się sprawa ku

szkłu do okien, szkłu w oborze.  
Do roboty, profesorze.

Zatrzymali jeszcze trzech,  
jeszcze pięciu, Kostek w śmiech

z tej radości, że tak szło,  
że powstanie polskie szkło

bez tych cudów, bez hałasu,  
bez annaszku, sasu-lasu,

bez kajfaszu, bez pieczęci,  
wprost: jak lepią garnki święci.

A gdy już pod wiosnę szło,  
walcowali polskie szkło

Tadek z Kostkiem, Kostek z Tadkiem  
szkło im wychodziło gładkie,

bo i oni byli mili.  
No, i szklili, szklili, szklili

Szkłem takim szklanym i czystym  
i diamentem promienistym.

A, że chodzili w pokorze,  
(Widzisz serca szklarzu, Boże)

to się okazało, że  
jakiś sekret był w ich szkle:

Świat przez nie jak proste dziwy  
wesoly był i uczciwy

i niebogaty, lecz nasz,  
jak Kostek szklarz, Tadek szklarz.

Tylko złośliwi mówili:  
Mszą... Matkę Boską... kupili...

stąd... przez szyby... pawie pióra...  
korony i inna bzdura.

Jać tam ich lubię. I marzę:  
Tadek i Kostek. Dwaj szklarze.

✂ Bez kopii, panno Lusu. Nie warto. Aut.

Mityczna panna Lusia, prawdopodobnie maszynistka\*, wyraźnie nie posłuchała prośby Autora i wykonała co najmniej kilka kopii, gdyż po latach, dokładnie w roku 1957, w jednym z tomów Dzieł Zebranych Gałczyńskiego znalazłem balladę o Kostku i Tadku z przypisem: „Wiersz powstał również za granicą. Pierwodruk «Przekrój», r. 1946, nr 56”.

*Balladę o szklarzach* zamieszczono w Dziełach nieco inaczej niż ją Kostek napisał, gdyż bez podziału na strofy, bez odnośnika do panny Lusi, bez poprawek na rękopisie, no i oczywiście bez dedykacji dla mnie i bez narysowanego krzyżyka, który Ildefons zrobił przy swym nazwisku u góry pierwszej stronicy manuskryptu.

Do wiersza Konstany dołączył do mnie list z niemieckiego obozu przejściowego w Höxter. Pisał mi, że wraca do Warszawy nareszcie wolnej, oswobodzonej przez serdecznego ojca Polski i Polaków: wielkiego i ukochanego Józefa Wissarionowicza Stalina i nie wątpi, że wkrótce tam się ze mną spotka.

Nie pamiętam, czy czytając te brednie pisane po wykryciu masowych grobów w Katyniu, o czym Konstany musiał przecież wiedzieć, przecierałem oczy ze zdumienia, czy nie. Bo powinienem. W każdym razie doszedłem do wniosku, że Gałczyński pragnie wrócić jak najprędzej do żony i córki, które kochał, a brednie na temat bratniej sowieckiej armii, o której teraz również wspominał, on niegdyś skądinąd skrajny prawicowiec i superendek, napisał dla kpiny.

Odpowiedziałem mu więc listem, w którym dziękując za świetną balladę wyraziłem obawę, iż w tej chwili jeszcze nie wybieram się, by składać hołd Stalinowi i dołączyłem napisaną przeze mnie na tę intencję fraszkę pod tytułem *Zaczekam, pozostaję*. Nie wątpilem, że Kostek odpisze mi dowcipnie, tym bardziej, że w liście z Niemiec pod okupacją narodów sprzymierzonych mógł sobie na to pozwolić. Ale nic podobnego. Pismo jakie od niego otrzymałem, chociaż również jak poprzednie skreślone zamazyszyście zielonym atramentem, roilo się od wymysłów. Nazywając mnie głupim faszystą, któremu lazi po głowie, że kiedykolwiek wjadę do Polski z moim Andersem z czarnym podniebieniem na białym koniu. Gałczyński wypowiedział mi przyjaźń i znajomość raz na zawsze. Szkoda. I szkoda, że w przystępie złości zniszczyłem ten list pełen inwektyw i ordynarnych wyrazów. Jakby nie było Konstany jest autorem wiersza *Pieśń o fladze*, który napisał w czasie wojny, gdy był zamknięty w obozie jenieckim w Altengrabow, a w wierszu tym, jednym z najpiękniejszych w poezji polskiej zwracając się do flagi wołał:

*...Nie zmożą Cię bombą, ni złotem  
I na zawsze zachowasz swą cnotę.  
I nigdy nie będziesz biała  
I nigdy nie będziesz czerwona,  
Zostaniesz biało-czerwona  
Jak wielka zorza szalona,  
Czerwona jak puchar wina,  
Biała jak śnieżna lawina,  
Biało-czerwona...*

Za ten wspaniały poemat można Ildefonsowi wybaczyć niejedno.

Tadeusz Wittlin (Stany Zjednoczone)

---

\* Najpewniej Lucyna Wolanowska, bigamiczna żona K.I.G. [przypis red.]